

11 opowiadań + 2

Przełożył Miłosz Waligórski

Człowiek przyjemny

Jestem człowiekiem przyjemnym. Do wszystkich się uśmiecham, kłaniam się. Kopią mnie w tyłek, ale nie szkodzi, prostuję się i znowu kłaniam tym, co mnie kopali. Ale zaraz z tyłu kopią mnie następni. Jak dostają kopy z boku, jest to bolesne i poniżające, wtedy rzucam złowrogie spojżenia. Pamiętam twarze. Czyham. Ale nie na nich, na mężczyzn jestem za słaby. Biorę sobie za cel ich żony, matki. Wykręcam im ręce, łapię za pośladki, ściskam piersi, poganiam, krzyczę, pluję i obsukuję.

Telewizor

Włączam telewizor, oglądam wszystko i się śmieję. Śmieję się głośno, żeby usłyszeli sąsiedzi, jaki to jestem szczęśliwy. Żeby sobie nie myśleli, że czuję się samotny. Samotni ludzie są ohydni. Nie da się z nimi wytrzymać. Nie można spodziewać się po nich niczego dobrego. Kichają pod schody. Widać to po oczach!

Nocne akcje

Co noc, kiedy się kładę i próbuję zasnąć, wyłania się nagle z ciemności. Czuję niepokój. Cień, gęstszy od sadzy, zbliża się w moją stronę i tylko na chwilę jakieś odblaski oświetlają twarz uplecioną z dżdżownic. Wilgotna, jętrząca się, w końcu znika, a rzeczy zaczynają się ruszać same z siebie. Dotychczas nieożywione, teraz jęczą. Stół, na nim butelka, popielniczka, szafa, krzesła i wieszak. Doniczka skrzypi, sunie po podłodze.

Mężczyzna z raną w sercu

Ktoś zapukał. Poszedłem otworzyć, o tej porze już w piżamie. W drzwiach stał mężczyzna z raną w sercu. Krew potężnym strumieniem tryskała mi prosto w twarz. Zastaniałem się dłonią, ale i tak ta struga cofnęła mnie na środek korytarza, kulilem się. Wymamrotałem, czego chce.

„Ukój mój żal!” – powiedział mężczyzna.

W piersi miał dziurę, skakało mu w niej serce.

„Jak?” – krzyknąłem. – „Jak go ukoić?”.
„Śpiewaj!” – rozkazał.
Zabrałem się do śpiewania.

Mężczyzna przestał krwawić, cichutko, jak delikatna matka przymknął drzwi, zostawił mnie samego, stałem przykurczony, zakryty dłonią w kałuży krwi, śpiewający.

Maria

Cmentarzy nienawidzę, ale i tak tam chodzę bo jest cicho i można spotkać ciekawych ludzi. Chociaż ta dziewczyna była inna. Myślała, że ją śledzę i uciekła na łeb na szyję. Ale ja znam skróty i zaraz wyszedłem jej naprzeciw. Nie wiedziała, którędy się wycofać, więc powiedziałem jej, żeby się nie bała i chwyciłem za rękę; przystała na to i poszła ze mną, przy bramie jednak się wyrwała i zaczęła wołać o pomoc. Wolałem się schować, bo było tam sporo ludzi. Zawsze kogoś muszę przestraszyć!

Tę dziewczynę spotkałem później na ulicy, zagadnąłem ją, ale mnie nie poznała, bo po ulicach chodzę inaczej ubrany. Spytałem, jak się miewa, ale ona bez słowa wzruszyła ramionami, no to zaprosiłem ją na kawę. Kiedy usiedliśmy, ciągle odwracała się i śmiała, nie słuchała, co do niej mówię. Aż nagle wybuchła: „I nie krzycz na mnie!”.

„Przecież nie krzyczę” – odpowiedziałem zaskoczony; wybiegła, a ja siedziałem dalej, bo wszyscy się patrzyli. Po chwili jednak wróciła, usiadła na krześle i zaraz znów się śmiała. Schyliła się do pana obok.

„Zna pan Stankowicza?” – spytała.
„Stankowicza?” – dziwił się pan.
„Jestem Maria”.

Pan podał jej rękę, delikatnie się uklonił. Kiedy też ja podałem jej rękę, wyrwała się i na wszelki wypadek odsunęła. Znowu nachyliła się do pana, słyszałem, jak szepcze:

„Zarżnęli mi dziecko”.
„Słucham?”.
„Zna pan Stankowicza?”.
Znowu podała mu rękę i zaśmiała się w dłonie.
„Jestem Maria”.

Ogon

W martwym mięsie żywy ogon. Chcieliśmy w niedzielę zrobić sobie na obiad mięso, wołam żonę, pokazuję, co się z tym mięsem dzieje. „Może tam w środku jest jakieś zwierzę”, mówi żona, próbuje kroić z boku i rzeczywiście: słychać krzyk. Starczyło, że podszedłem z nożem, mięso całe zaczęło się trząść i przenikliwie kwilić. Zdecydowaliśmy, że poczekamy do rana. Ale rano ogon był jeszcze większy, ochoczo się wiercił. Za dwa dni mięso, poobsiadane muchami,gniło, a ogon rósł i rósł, ciągle się ruszał, ba, nawet palcem nie mogłem go pacnąć, od razu podnosił larum. Wziąłem więc na łopatkę, niosę do piwnicy, a mięso, rozpasane i skore do zabawy, łaskocze mnie po twarzy tłustym ogonem. W suterenie nagle mi się wywija i jednym susem ląduje na ziemi. Chcę je podnieść, ale się wyslizguje. Pełźnie w lewo, ja za nim. W prawo, wiję się przede mną, chowa za murkiem. Przylegam do ściany, wstrzymuję oddech. Wygląda zza rogu, zauważa mnie, piszczy i rzuca się do ucieczki.

Wracam do domu, żona pyta, co się dzieje. Nic nie mówię. W nocy nie mogę spać. Ciężko oddycham, liczę minuty, przewracam się na łóżku.

„Nie myśl o tym, kochanie” – mówi żona.

O drugiej w nocy słychać uderzenie w drzwi. Jakby ktoś walnął pałką. Idę otworzyć, w pizamie, z nożem w ręce. Na progu leży mięso. Radośnie szermuje ogonem. Podskakuję, żona piszczy. Mięso wpełza do mieszkania. Kiedy na korytarzu stoimy w bezruchu, ono gdzieś sobie lezie. Z sypialni dobiegają podejrzane dźwięki. Na palcach podchodzę do drzwi i zaglądam do środka. Mięso leży w łóżku, przykryte kołdrą. Ogonem, teraz już olbrzymim, kiwa wte i wewte.

Zamrożony człowiek

Otworzyłem lodówkę, wypadł z niej człowiek. Miał czarny smoking, na głowie kapelusz, był zupełnie zamrożony. Leżał na podłodze, skulony jak płód w tonie. Wydawało się, że nie żyje. Wziąłem tasak, ale jakbym pukał o skałę.

Był wprawdzie ciężki, ale udało mi się dowlec go do okna i posadzić na parapecie. Wyjrzałem na zewnątrz, czy nikt nie idzie i wypchnąłem go. Spadł na dół. Uderzenie było mocne, ale lód nie popękał. Leżał tam w dole na chodniku jak kłoda. Przez dwa dni nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Siedziałem w trawie, paliłem i rozmyślałem, co z nim zrobić, kiedy nagle ruszył ręką, ruszył nogą, lód pękł, a on wstał. Uśmiechnął się do mnie, włożył kapelusz, pozdrowił i chciał odejść.

„Proszę poczekać!” – pobiegłem za nim. – „Jak pan się dostał do mojej lodówki?”.

Mężczyzna stanął, spojrzął na mnie badawczo, nachylił się do mojego ucha.

„Tajemnica!” – wyszeptał i sprężystym krokiem oddalił się w nieznaną.

Wpędzony w izolację

Dzisiaj rano idę sobie ulicą, a tu wpędzają mnie w izolację. Gazeciarze! Od zawsze byłem przyzwyczajony do kontaktu z ludźmi, ale tym razem otoczyli mnie ze wszystkich stron i wykrzykiwali, co to nowego dzisiaj się nie wydarzyło. Chciałem kiwnąć znajomym, nawet próbowałem machać między głowami, ale nikt mnie nie widział. Oddychając w potylicę tych z przodu, wpędzony w izolację, przemierzałem miasto.

Ukryty

Poznaję go po chodzie. Kaszle na schodach. Zatrzymuje się przy drzwiach, słucha, czy mnie tu nie ma. Czasem puka. Chowam się pod łóżko. Wstrzymuję oddech. Ale on stoi tam nieraz nawet godzinę. Za klamkę nie chwyta. Charcząc, świszczy w zupełnych ciemnościach. W płaszczu ma list do mnie. Chce mi go przekazać do rąk własnych. Sam napisał. Pisze nocami. Mieszka nade mną. Leżę pod łóżkiem, nastuchuję, jak chodzi tam i z powrotem. Czasem o trzeciej w nocy włącza radio, żeby zagłuszyć swój śmiech. Ryje nożem w ścianie bezsensowne, obłe napisy. Tymczasem teraz charczy mi za drzwiami.

Mucha

Zostałem tu sam, tylko z muchą. Dla niej są dwa pokoje, dla mnie jeden. Mucha chce, żebym się stąd wyniósł, wypycha mnie z mieszkania. Nóżkami oparta o moje drzwi stara się je wyważyć. Jest ciężka, duża i ohydna. Kiedy się snuje, wlatuje do mebli, zrzuca figurki, wazy i popielniczki. Albo wplątuje się w firanki jak w pajęczynę, ciągnie je ze sobą, chce się uwolnić. Wtedy próbuję przebiec do innych pokoi. Kiedyś rzuciłem się na nią z nożem i dźgałem, dziko dźgałem, ale muchy tak łatwo nie da się załatwić. Trzasnęła mnie w głowę, dobrze, że mi nie przetrząła karku. W nocy, kiedy śpię, bzczy i drapie pod progiem. Jest głodna i agresywna. Chce zjeść. Nikt tutaj nie wie ani o mnie, ani o musze! Przegryzła kabel telefoniczny, zaplątała się. Nie może latać, jest za duża, za mało dla niej miejsca w tym mieszkaniu. No i zostaję sam na sam z muchą i czekam, aż umrze. Czekam, kiedy wyschnie. Może już na zimę zaśnie, wycofa się gdzieś do garderoby. Wtedy ją uśmiercę. Zatruję gazem!

Dziecko

Do moich drzwi zapukało dziecko. Otworzyłem i wciągnąłem je do środka. Zacząłem mu dogryzać już na korytarzu. Kopąłem, popychałem, okropnie wyzywałem, biłem pięścią w twarz, dopóki nie wypłynęło oko. Potem złamałem mu szczękę. Skakałem po piersiach. Z ust tryskała krew. Zaciągnąłem je do pokoju, rzuciłem pod łóżko i więcej nawet na nie nie spojrzałem.

Jeździec

Na piętach małe podkówki, żeby to miało kopa. Dwa, trzy razy po parku, potem w teren, wokół rzeki. Mam już tam wyjeżdżoną ścieżkę. Pamiętam, jak tam stał, patrzył na mnie. Nie wyglądał na jeźdźca, był taki śmieszny. Jak jestem spocona, zawsze się cieszę. Cała błyszczę. Chyba myślał, że się do niego uśmiecham. Jak się rozebrałam, zdziwiło go, że jestem tak ładnie opalona.

„Czekał pan na białą i łaciatą czy raczej cętkowaną?”

„Nie” – mówi – „białe i łaciate są wstrętne”.

Potem skaczę do rzeki, woda się mierzwi, burzy. I znów biegnę dalej.

Łapie mnie za rękę i zmusza, żebym usiadła na ławce. Siedzieć? Broń Boże. Jak powiewa grzywa, to robi wrażenie.

„Już się pani zrywa” – mówi mi.

Wyszczerzam zęby i gryzę go w rękę. Przestraszył się, biedaczek. A ja tak tylko z sympatii!

„Wydaję się panu dobrze wytresowana?”

On by mnie wytresował raz dwa!

„Naprawdę?” – sprawdzam go. – „Niech pan mi wskoczy na plecy!”

„Tu, w parku?”

„Proszę skakać! No już!”

Trzymał się jak kleszcz. Nogami objął mnie w pasie. Wyrzucałam go w górę i skakałam, aż upadł na trawę. Chwilę przebierałam nogami w miejscu, potem głośno zarżałam i odbiegłam kłusem.

„Pojeździmy jeszcze?” – pyta z uśmiechem, gdy spotykamy się następnego dnia.

„Czemu nie?” – mówię.

„A nie można by u mnie w domu???”

„Niech pan wskakuje!” – krzyczę.

Cwatuję po pokoju.

„Proszę wskoczyć podczas biegu!”

Skacze. RzUCA się na szyję.

„Ty zdziro! Ja ci pokażę!” – łapie mnie za włosy i ciągnie. Upadam na cztery, ale on mnie ściska kolanami, nie mogę go zrzucić.

„Jeszcze zobaczysz ten cwał!”.

Zrywa ze mnie ubranie. To mi się podoba! Naga! I spocona! Kilka razy gryzę go z radości. On mnie też gryzie i dusi. Ale jak się rozbiera, wyrrywam się mu. Krążę wzdłuż ścian.

„No chodź! Chodź! No nie bój się!” – cmoka, śmieje się i mnie wabi. Chce na mnie skoczyć. Ale upada. Opiera ręce o uda, głośno dyszy. Wydaje się, że już nie może. A ja zatrzymuję się w kącie. Nagle jednym skokiem jest na mnie. Klęczę, rzucam się, wywijam głowę, ale on trzyma mnie mocno za piersi.

Jeździliśmy po pokoju prawie do rana. Aż bezsilnie nie padliśmy na podłogę. Byłam szczęśliwa. On był jeźdźcem, prawdziwym Jeźdźcem!

Zdychaj

Zdychaj! W pokoju otwarte oko pętli zawieszono pod sufitem. Zdychaj, nie wykręcaj się! Pętla napina się, jest jak żywa, kręci się jak laso, chwyta za rękę, chcesz się jej wyrwać, ale na próżno...

To mieszkanie z pętlą, do którego się przeprowadziłeś. Masz trzydzieści lat, twój sklep z zabawkami jest mały. Nie możesz sypiać na regałach. Zabawki się mszczą. Zajmujesz im miejsce. Wesoly krab na kluczyk namówił szczekającego psa, ten z kolei małpkę z warkoczem, która wygadała wszystko różowej gumowej ośmiornicy. Dinozaury robią tomat pod ladą, uparcie gonią pluszową mysz i zdaje się, że twoja obecność im nie przeszkadza. Jedynie koty kici, kici miotają z półek gromy nienawiści!

Nie! Ty tutaj nie pasujesz. Wracaj do domu. Zabawki są podstępne. Dzieci, którym je sprzedałeś, ogarnął strach. Lepiej już zdechnij. Twój sklep jest przekłęty!

Przewrót ma na sumieniu prawdopodobnie któraś z zabawek. Samochód policyjny? Ultradźwiękowy odrzutowiec M4GX? Mała fosforyzująca kuleczka odłożona do dolnej szuflady? Albo uśmiechnięty kowboj na białym koniku? Wyciekły mu baterie, zardzewiał i dlatego się mści? Nie! Nie myśl o tym! Idź już lepiej do domu, do swojego mieszkania na piątym piętrze. I zdechnij tam. Jesteś sam, palisz, pijesz rum i patrzysz w pustkę. Tak, życie przed zabawkami było jasne i sensowne. Pamiętasz jeszcze?

A co jeśli ty sam z niechęci do dzieci nakręciłeś którąś z zabawek? A dzisiaj próbujesz to cofnąć. Już się nie da. Za późno. Więc zdechnij! Na środku pokoju pętla, a ty skulony w kącie. Twoje mieszkanie żąda ofiary. Czy ty tego nie rozumiesz? Pętla otwiera złowieszcze oko. Zdychaj!